

Gorzka, sugestywna powieść
o straconych złudzeniach i poszukiwaniu siebie

DOM

RAFAŁ
CICHOWSKI



RAFAŁ
CICHOWSKI

DOM



Redaktorka prowadząca: Marta Budnik
Wydawczynie: Justyna Żebrowska
Redakcja: Justyna Żebrowska
Korekta: Ewa Popielarz
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski
Zdjęcie na okładce i wyklejka: © mikalaimanyshau / Stock.Adobe.com
DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2022 by Rafał Cichowski

Copyright © 2022, Mova an imprint of Wydawnictwo Kobiecte Łukasz Kierus

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2022
ISBN 978-83-67137-22-5

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | www.WydawnictwoKobiecte.pl



Gdy Gruby umierał, ja wjeżdżałem na trzydzieste ósme piętro hotelu Intercontinental, cały wyprasowany, niewyspany, z brzuchem pełnym kawy i psią śliną zasychającą na lewym mankiecie koszuli. W kieszeni wyciszony telefon. W głowie przygotowane wszystkie słowa. Wokół powietrze gęste i ekskluzywne jak w perfumerii przed Bożym Narodzeniem, a to dopiero koniec sierpnia. To ja – zapatrzony w miarowe odliczanie pięter na wyświetlaczu, zasłuchany w monotonny szum siłowników kabli, zębatek, mechanizmów, o których działaniu nie mam pojęcia. Wystarczy mi pewność, że nie spadniemy. Że jeszcze przez chwilę możemy trwać w stanie zawieszenia, wciśnięci pomiędzy polacie matowej blachy. Zaraz się zacznie.

Julia zawija biały kabel wokół palca. Chino szepcze jej do uszu, że zabierze ją do domu i wyrwie oba skrzydła, a później wchodzi refren, wystarczająco głośno, by zakrzyczeć każdą z myśli. Gdzieś w okolicach dwudziestego piętra wymieniam z Michałem krótkie spojrzenia. Nie musi pytać, czy jestem przygotowany, czy zdążyłem wprowadzić do prezentacji jego poprawki i dlatego z samego rana nie odesłałem mu ostatecznej wersji, na którą i tak nie miałby czasu spojrzeć. Ani czy upewniłem się, że mam ze sobą wszystkie przejściówki tego świata, żeby podłączyć naszego służbowego macbooka do jakiegokolwiek

wymyślnego sprzętu, który zastaniemy w sali konferencyjnej, i czy wziąłem ze sobą kopię na pendrivie, żeby w razie czego można było ją odpalić z innego komputera. Nie tak jak ostatnio, gdy zmusiłem tuzin menedżerów średniego szczebla do wpatrywania się przez pół godziny w trzynastocalowy ekran laptopa. W jego spojrzeniu zawarte jest wszystko.

Winda miękko wytraca prędkość. Drzwi się rozsuwają, wypuszczając do środka tak bardzo potrzebny tlen. Julia wyciąga słuchawki z uszu i bez pośpiechu wkłada kabel do torby, przyglądając mi się z uwagą. Nawet jeśli dopadły ją wątpliwości, nie daje tego po sobie poznać. Zamyka suwak, zaciska usta. Po chwili korytarz wypełniają miarowe stuknięcia jej obcasów. Ja wychodzę ostatni. Sunę powoli wzdłuż przeszklonej ściany, patrząc na korek kłębiący się sto dwadzieścia metrów poniżej. Całe to zatwardzenie przeciska się jak co rano przez jelita metropolii w rytmie czerwonych świateł. Pod błyszczącymi dachami zaspasne głowy, ścierpięte dupy, ręce dłubiące przy radiu palcami porparzonymi kawą ze stacji benzynowej. Ciekawe, ilu z nich marzy, żeby zawrócić? Wparować do domu i zacząć weekend wcześniej? Albo jeszcze lepiej – skrócić gdziekolwiek i jechać, jechać coraz dalej od siebie? Ale ulice są zatkane we wszystkich kierunkach. Zanim korek się rozładuje, kawa i myśli już dawno ostygną.

Michał wyprzedza Julię, by otworzyć przed nią drzwi. Kobieta, która wita nas w recepcji, ma ze dwa metry wzrostu. Wkomponowana w przestrzeń za biurkiem niczym w ołtarz, wskazuje smukłymi dłońmi odpowiednie kierunki. Przypomina przy tym hinduską boginię. Jej błyszczące usta recytują mantrę uprzejmości. Trudno uwierzyć, że tacy ludzie istnieją naprawdę, dopóki ich się nie spotka. Nawet z bliska wyglądają, jakby należeli do świata równoległego.

– Firma Engram. Do pana Strawińskiego. – Głos Michała przypomina mi, po co tu przyszliśmy.

– Udało się państwu jakoś do nas przebić? – pyta kobieta i nie czekając na odpowiedź, podnosi słuchawkę z biurka. – Prezentacja start-upu. Do siedemnastki? Z tego, co widzę, następna rezerwacja jest za godzinę. – Pojedynczy uśmiech wciśnięty między formalności. – Skoro tak... Już do was idą.

Zegarek na moim nadgarstku wibruje dyskretnie, informując mnie, że właśnie wybiła ósma. W sali jest głośno, zimno i tłoczno od mężczyzn w szarych garniturach. Ich twarze też są szare. Nikt nie ma krawata, bo dzisiaj przecież luźny piątek, można oddychać swobodniej. Wszyscy już żyją nadchodzącym weekendem, czuję to w powietrzu mocniej niż zapach świeżo zmielonej kawy ulatniającej się z porcelanowych filiżanek. Tu pije się tylko podwójne espresso. Parę osób przygląda nam się z uwagą, gdy zajmujemy miejsca na końcu szklanego stołu, ale reszta jest pochłonięta rozmowami o włoskich fryzjerach, rezerwacjach w najdroższych knajpach, fakturze papieru na wizytówkach, kokainie i martwych prostytutkach, których zwłoki leżą poćwiartowane w szafach wynajętych apartamentów. Taką mam przynajmniej nadzieję, bo w przeciwnym wypadku oznaczałoby to, że po prostu mają nas w głębokim poważaniu.

Bez większych problemów podłączam laptop do rzutnika, biorę ostatni głęboki oddech i uprzejmie proszę wszystkich o chwilę uwagi. Zawsze myślałem, że to coś, do czego nigdy nie będę w stanie się przyzwyczać – te prezentacje. Pamiętam, jak wstydziłem się dźwięku własnego głosu i wygłaszałem długie monologi ze wzrokiem wycelowanym w wykładzinę. Jak wyłamywałem sobie palce pod stołem, jak wiecznie pociły mi się dłonie i nie byłem w stanie odpowiedzieć na żadne pytanie

bez rzucania raz po raz nerwowych spojrzeń w kierunku Michała, w nadziei, że szef zaaprobuje mój bełkot. Jak zaśmiecałem wszystkie wypowiedzi wtrąceniami w stylu „wydaje mi się”, „generalnie to” i „w sumie”, sratatata, przepraszam, że żyję. Te czasy już dawno minęły. Co nie oznacza, że z tymi tutaj pójdzie mi łatwo.

Mam pełną świadomość, że łączny roczny przychód dzentelmenów zebranych w tym pokoju przewyższa budżet średniego polskiego miasta, więc nawet my, reprezentujący prężną pięćdziesięciosobową firmę tworzącą innowacyjne aplikacje, jesteśmy przy nich niczym banda wygłodniałych piesków łaszących się do ich stóp w nadziei, że rzucą nam ze stołu jakiś tłusty kawałek. Ich nieprzypoite bogactwo sprawia, że automatycznie stają się ekspertami w każdej dziedzinie: od technologii przez kulinaria po siedemnastowieczne malarstwo flamandzkie, i nawet nie mam co z nimi polemizować. Zamiast tego mogę trzymać się planu i zacząć od najważniejszego – nasz produkt sprawi, że zarobią jeszcze więcej pieniędzy. Sztuczna inteligencja. Cudowny algorytm oceniający z niezwykłą dokładnością produktywność pracowników, dzięki czemu wiadomo, kogo awansować, a komu podziękować za współpracę, jeszcze zanim zaczniesz powodować straty. Brzmi zbyt dobrze, by było prawdziwe? Pewnie dlatego, że nie jest prawdziwe. Nie mamy żadnego algorytmu, jedynie stale powiększający się zespół analityków zarządzany przez Julię, który przekopuje się dzień i noc przez tony danych, szukając określonych wzorów zachowań na podstawie historii odwiedzanych stron, liczby kliknięć i godzin logowania do systemu. Ale nasi potencjalni inwestorzy i ich menedżerowie nie muszą o tym wiedzieć. Wystarczy, że ktoś zdejmie z nich odpowiedzialność za podejmowanie decyzji i wzmocni ich poczucie kontroli.

Głosy nie cichną, więc ostentacyjnie sprawdzam godzinę na zegarku i zauważam na mankiecie koszuli wielkiego rozsmarowanego gluta, którego zostawił tam Bajzel. Nie miałem już czasu, żeby przebierać się w dresy przed porannym spacerem. Szybka runda wokół bloku. Kupa, siku, a później sprint do metra. Przynajmniej nie wdepnąłem w żadne gówno, myślę. Michał spogląda na mnie po raz drugi od rana. Widzi, co się tu dzieje, jak nie możemy wejść w odpowiedni rytm, ale czas ucieka, więc mimo wszystko powinienem zacząć już wypowiadać jakieś słowa. Uśmiecham się, aby stłumić jego obawy, i zamykam z trzaskiem ekran laptopa.

– To spotkanie to jedna wielka strata czasu – mówię, a na sali zapada cisza, jakby ktoś wcisnął pauzę w filmie. – Nasz produkt działa. Pozwoli waszej firmie lepiej zarządzać ludźmi i oszczędzać pieniądze. Na dobry początek oszczędzimy państwu pięćdziesiąt sześć minut z dzisiejszego dnia. Dziękuję za uwagę. – Podnoszę macbooka ze stołu i idę prosto do drzwi odprowadzany zdumionymi spojrzeniami. I proszę, błagam w myślach, by Michał i Julia ruszyli za mną. Żeby przypadkiem nie przyszło im do głowy obracać całej sytuacji w żart, tłumaczyć mojej niedyspozycji odstawionymi lekami. Żeby wstali i wynieśli się stąd czym prędzej, nim ktokolwiek zrozumie, co zaszło.

I tak właśnie się dzieje.

– Do widzenia państwu – słyszę za plecami ich głosy i pierwsze pomruki niezadowolenia, ucięte uderzeniem drzwi.

Cały czas na wdechu przechodzę przez recepcję, puszczając oko do biurowej bogini, która marszczy brwi zdziwiona naszą nagłą ewakuacją. Kobieta spogląda w kierunku sali numer siedemnaście i uspokojona widokiem wylewającego się z niej tłumu szarych garniturów żegna nas wyćwiczonym skinieniem. Ja nie zwalniam

kroku. Wzywam windę i zabijam czas pozostały do jej przyjazdu, przerzucając ciężar ciała z nogi na nogę, jakbym bujał się do wewnętrznego rytmu. Emocje powoli dają o sobie znać. Prąd płynie tuż pod skórą z coraz większym natężeniem, ściska brzuch i wspina się po plecach. Ale jeszcze chwila. Musimy wstrzymać się ze wszystkimi słowami, przynajmniej dopóki nie wejdziemy do środka i nie ruszymy w krótką podróż z powrotem na ziemię.

Drzwi wreszcie się rozsuwają, odsłaniając eleganckiego mężczyznę w oczojebnie błękitnym garniturze i kobietę na dzieciociocentymetrowych szpilkach, którym ewidentnie przerwaliśmy pocałunek. Z największym skupieniem szukają wzrokiem czegoś na suficie i uśmiechają się, jakby przenieśli się trzydzieści lat wstecz, do liceum. Ona ma na palcu obrączkę, on nie. Widzę wszystko – to mój dar i największe przekleństwo. Czasem chciałbym móc przejść przez dzień ślepy i głuchy, nie doszukiwać się ukrytych znaczeń w gestach i nie interpretować brzmienia słów, ale nie potrafię. To sprawia, że jestem dobry w tym, co robię. Podobno.

Korpogołębki są myślami daleko stąd, ale mimo to nikt z nas jeszcze nie próbuje głośno komentować spotkania. Jedyne Julia kiwa głową, wbija we mnie parę wściekle zielonych oczu i sylabizuje bez dźwięku, że to, co zrobiłem było bez-czel-ne. Mamrocze jeszcze coś tam o braku szacunku. Zarządza moim zespołem, więc opieprzanie mnie leży jak najbardziej w jej kompetencjach. Na szczęście nasz szef zachowuje kompletny spokój. Zarzuca na ramię marynarkę i spokojnym krokiem maszeruje przez główny hall w kierunku rozwrzeszczanych ulic błyszczących w sierpniowym słońcu.

Po chwili siedzimy już w taksówce, gdzie każdy może sobie pofolgować, bo trudno znaleźć słowa, których nasi wężaci

kierowcy nie słyszeliby już po tysiąc razy na wszystkich tych długich kursach spod klubów w centrum w dowolną sobotnią noc. Ale zamiast litanii inwektyw, której coraz bardziej się spodziewam, słyhać jedynie miarowy warkot silnika, gdy przeciskamy się powoli na Mokotów. Wyciągamy telefony i odpisujemy na maile. Spoglądam na rozpadające się fasady budynków nieumiejętnie schowane za wielkoformatowymi reklamami i dochodzę do wniosku, że to miasto staje się z każdym rokiem coraz brzydsze.

– Nie wiem jak wy, ale ja strasznie zgłodniałem – mówi wreszcie Michał, prosząc taksówkarza, żeby zmienił kurs i zaparkował pod restauracją.

Czarny mercedes staje przy krawężniku, blokując cały prawy pas, a my wyskakujemy sprawnie z cuchnącego fajami skórzanego wnętrza prosto w jasne przestrzenie pełne haftowanych obrusów i świeżo ściętych kwiatów.

– Witamy, panie Jackson. – Kelner pojawia się znikąd, kłania się w pas i pyta szefa o rezerwację.

– Dziś tylko szybki brunch.

– W takim razie mogę zaproponować miejsca na górnym tarasie – mówi, prowadząc nas po skrzypiących drewnianych schodach.

Całe menu mieści się na jednej stronie i zawiera takie pozycje jak nóżki wieprzowe czy grzanka z mózdzkiem. Ostatecznie zamawiam kawę, sok i tatar z łososia, który sam kosztuje 79 złotych i jest traktowany jako przystawka. Normalnie ograniczyłbym się do napojów, ale jeśli to ma być mój ostatni posiłek na koszt firmy, to czemu nie. Julia bierze latte, a Michał coś, czego nawet nie ma w karcie. Gdy kwadrans później kelner wróci do nas z zamówieniami, dowiemy się, że to kilka plasterków szynki

pochodzącej z krów, które całe życie piją piwo i są masowane po tyłkach. Znajdę w tym analogię do naszego współczesnego życia, ale będzie jeszcze zbyt wcześnie, a ja będę wciąż zbyt trzeźwy, żeby podzielić się tym spostrzeżeniem.

– Wiecie, jaki jest sekret udanego małżeństwa? – odzywa się nagle Michał.

Kręcimy głowami, zastanawiając się, czy to początek dowcipu, tajemna wiedza, którą chce się z nami podzielić, czy głęboko zawoalowana aluzja. Szef stuka dwukrotnie obrączką w stół i kontynuuje.

– Raz w tygodniu ja i moja żona wybieramy się do takiego miejsca jak to. Jemy pyszną kolację przy świecach, słuchamy nastrojowej muzyki i tańczymy. Ona chodzi we wtorki, ja w piątki.

Wybuchamy śmiechem oczywiście. Ale cisza, która zapada po chwili, jest głęboka i wymowna.

– Weszliśmy tam przegrani – odzywam się wreszcie. – Widzieliście ich twarze. Nie mieli najmniejszej ochoty nas słuchać.

– To prawda – przyznaje Michał.

– Tak, ale być może warto było powiedzieć im, bo ja wiem...

O tym, że na przykład taki Future Investment po roku współpracy z nami może pochwalić się sześćdziesięcioprocentowym wzrostem wydajności – mówi Julia. – Wiesz, takie twarde dane potrafią przemówić do wyobraźni.

– To także prawda.

– Więc co? Uważacie, że zawaliłem? – pytam wprost.

– Uważam, że firma jest w dobrym miejscu – zaczyna szef. – Co nie oznacza, że możemy przestać szukać nowych klientów. Potrzebujemy środków na rozwój, a jeżeli ich nie znajdziemy, na jesieni trzeba będzie podjąć kilka trudnych decyzji. Na przykład

poszukać oszczędności w dziale analityki. Ale to już kompetencje pani Julii – dodaje po chwili, obrzucając ją chłodnym spojrzeniem.

– Myślę, że nie ma co czekać do jesieni – odpowiada. – Tylko wyjść w miasto i znaleźć te pieniądze.

– Albo od razu zacząć zwalniać? – prowokuje ją Michał.

Julia nie odwraca wzroku. Ona nigdy nie ucieka przed konfrontacją, ale wiem, że na to jedno pytanie nie chce udzielić odpowiedzi. Przy całej swojej upierdliwości zawsze pozostaje lojalna wobec zespołu. A on musi to wiedzieć, więc ją podpuszcza, przyciska do ściany, żeby przyznała mu rację na głos albo zaprzeczyła. Z Michałem tak już jest. Zwykle można z nim konie kraść, ale gdy poczuje krew, biorą nad nim górę pierwotne instynkty. Być może zwolnią mnie tu i teraz. Mam tylko nadzieję, że nie będę musiał płacić za tego łososia.

– Wiesz... – zaczyna Julia po chwili – pozbywanie się ludzi to tylko pozorna oszczędność. Jak podpiszemy nowy kontrakt, będziemy musieli znów poszerzyć zespół i dodatkowo wszystkich przeszkolić, a my przecież chcemy się rozwijać. No ale jeśli nic się nie wydarzy w najbliższej przyszłości... – Słata palce i odchyła głowę do tyłu, jak zawsze przed wydaniem wyroku. Para zielonych oczu patrzy prosto na mnie ze złością i rozczarowaniem. Otwiera usta.

W tym samym momencie rozlega się anielski głos Niny Simone dobiegający nie z zaświatów, ale spod stołu. Michał sięga do kieszeni i odbiera telefon. Trzykrotnie powtórzone „tak” nic nam nie mówi, ale gdy zaczyna wyjaśniać, że aplikację najlepiej będzie zainstalować w nocy, kiedy pracownicy nie są zalogowani do systemu, czuję się, jakbym eksplodował od środka. To uczucie jest lepsze niż orgazm, niż wszystkie narkotyki razem wzięte

i zaaplikowane prosto do rdzenia. Sprawia, że kolory stają się bardziej ostre, a dźwięki głośniejsze.

– Okres testowy będzie trwał około dziesięciu dni roboczych. Pierwsze dokładne analizy będziemy w stanie dostarczyć przed upływem trzeciego miesiąca.

Ja to zrobiłem. Ja sam. Postawiłem wszystko na jedną kartę, a ona okazała się dzokerem, który śmieje się całemu światu w twarz. Nie jestem w stanie wysiedzieć na miejscu. Julia spogląda wciąż podejrzliwie w kierunku Michała, ale gdy ten pokazuje kciuk wycelowany ku górze, umawiając ekipę techniczną na jutro, bo oczywiście, ma pan rację, nie ma sensu czekać do poniedziałku, jej twarz odzyskuje kolory. Wychyłam się przez barierkę tarasu i patrzę na przechodniów, jadące powoli samochody, srające w locie gołębie, bezchmurne niebo odbite w szklanych taflach wieżowców i to prawdziwe wysoko nad nimi, błękitniejsze niż kiedykolwiek. Pojedynczy liść zerwany z drzewa podmuchem ciepłego wiatru przelatuje tuż koło mojej głowy i z piruetem ląduje miękko na podłodze, tylko po to, by zostać przydepniętym przez zbliżającego się do nas kelnera.

Łosoś smakuje jak z Lidla, o kawie można powiedzieć tylko tyle, że jest ciepła, a sok pomidorowy naprawdę ciężko spierdolić, ale i tak nie mogę przestać się uśmiechać. Chłopak przychodzi zapytać, czy wszystko w porządku z naszym zamówieniem.

– Obawiam się, że nie otrzymaliśmy naszej whisky – mówi Michał, przyglądając się bacznie jego reakcji.

Kelner marszczy brwi, ale nie wytyka mu oczywistej ściemy. To nie jest knajpa, w której kwestionuje się zachowanie gości. Więc czeka. Przylepia sobie do twarzy głupi uśmiech, szura butami i nadstawia ucha. Mija bite pół minuty, aż w końcu robi mi

się go żal i zerkam do karty, żeby zobaczyć, co dobrego tam mają z trunków i zakończyć tę groteskę. Michał odzywa się pierwszy.

– Trzy razy Glenfiddich z lodem. Osiemnastoletni.

– Oczywiście – odpowiada nasz kelner, kłania się i znika, zbiegając po drewnianych stopniach z wyuczoną precyzją.

Chwilę później na naszym stole łądają ciężkie kryształowe szklanki wypełnione rudym płynem.

– Najmocniej państwa przepraszam za tę pomyłkę. Alkohol jest na koszt lokalu.

Michał wznosi toast za moją niewyparzoną gębę. Jest dziewiąta trzydzieści rano w piątek, a ja piję whisky w pracy z moimi przełożonymi, wypełniony poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Ten sam ja, który sześć lat temu wyleciał z hukiem ze studiów; który jedenaście lat temu siedział o północy pod blokiem, palił z Siwym szluga na spółę i zastanawiał się, czy kiedykolwiek uda mu się wyjechać z rodzinnego miasta; który dwadzieścia lat temu przestał oddychać na całe dwie minuty po tym, jak przegrał nierówną walkę z siłami natury i wyrzwał głowę w falochron; który trzydzieści lat temu był jedynie małym zaślinionym glutem wychowującym się w wiejskiej chacie na końcu świata, gdzie nie dojeżdżał żaden autobus, a ludzie w trakcie burzy stawiali gromnice w oknach i każdy był wierzący. Moje zdrowie.

Do biura docieramy parę minut po jedenastej, zmęczeni trzema kolejkami whisky i spacerem w słońcu, które dziś nie zna litości. Padam z impetem na krzesło, włączam komputer i ze zdziwieniem odkrywam, że jestem zbyt nawalony, żeby poprawnie wpisać hasło. Pamięć mięśniowa szwankuje, palce spadają na klawiaturę w złej kolejności. Spoglądam w dół i wklepuję literę po literze, czując się przy tym jak małpa, którą ktoś nauczył

fajnej sztuczki. „Pomiędzy wielkimi rzeczami, których nie jesteśmy w stanie dokonać, i małymi rzeczami, którymi nie chcemy się zająć, istnieje ryzyko, że nie zrobimy nic” – głosi cytata na mojej tapecie. Dziś dokonałem czegoś wielkiego, więc na resztę dnia daję sobie wolne. Włączam przeglądarkę i odpalam Geo-Guessr, grę, która polega na odgadywaniu losowych lokalizacji na podstawie trójwymiarowego widoku zaczerpniętego z Google Street View. W pracy gram rzadko, ale zdarzało się, że w domu zarywałem noce, włócząc się ulicami Pretorii czy Trondheim, zastanawiając się, jak by wyglądało moje życie, gdybym urodził się w Eau Claire w Wisconsin i dorastał, buszując w polach kukurydzy pod bezkresnym amerykańskim niebem. Być może nabawiłbym się odcisków na dłoniach od machania widłami za stodołą albo rozpałałbym ogniska pod lasem i całował rude piegowate dziewczyny, powoli rozpinając suwaki ich zimowych kurtek. Tyle żyć i tyle opowieści podszytych tym szczególnym rodzajem tęsknoty za miejscami, w których nigdy nie byłem.

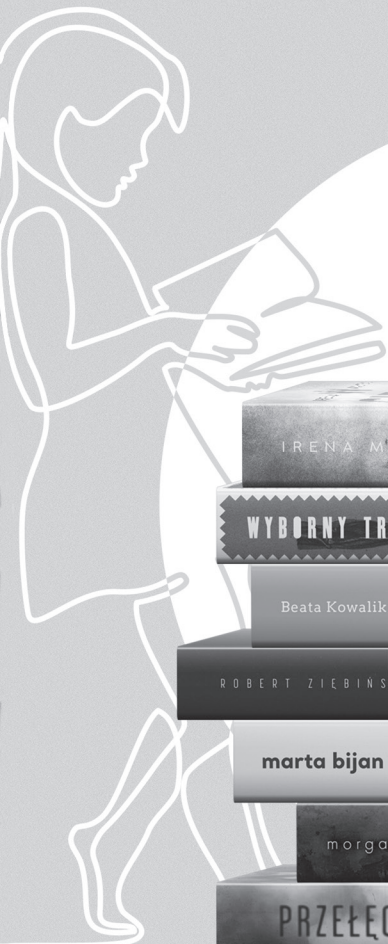
Trzy godziny znikają, zanim dopada mnie popołudniowy kac. W kuchni spotykam Krzycha. Dziś ma na sobie spraną koszulkę z logo Pearl Jam, conversy w dwóch różnych kolorach i fabrycznie podarte dżinsy. Kiedyś pracował w agencji reklamowej jako copywriter, ale wyrzucili go, bo ponoć dał w mordę klientowi na spotkaniu. Widzę, jak przygląda się moim przekrwionym oczom, gdy nalewam sobie kolejne szklanki wody z dystrybutora, ale nie zadaje zbędnych pytań. Zamiast tego proponuje, żeby wyskoczyć na piwo po pracy.

– Tylko jedno – zarzeka się, dźgając mnie z łokcia pod żebra i śmiejąc się donośnie.

– Chętnie... – odpowiadam i przypominam sobie nasze ostatnie wspólne wyjście na miasto.



HISTORIE WARTO OPOWIEDZIEŃ



#MOVAODOBRYCHKSIĄŻKACH